

Krzysztof Wołodźko: Horda Goga. U źródeł Rzeczypospolitej Niewiernej

Nie trzeba teorii spiskowej o kanalizowaniu przez państwo buntu: symbiozę wymuszał fakt, że innej przestrzeni dla kultury poza państwową wtedy właściwie nie było, a niekiedy animatorzy w tego typu mniej lub bardziej prowincjonalnych miejscach albo mało byli zainteresowani tym, co się właściwie dzieje, albo sprzyjali ostrzejszej muzyce młodych – pisze Krzysztof Wołodźko w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Muzyczna rewolucja”.

Kat i Roman Kostrzewski, Marek Piekarczyk i TSA, Tomasz Dziubiński, czyli człowiek instytucja, Vader z Piotrem Wiwczarkiem na czele na pierwszej Metalmanii w 1986 roku, Acid Drinkers, dwa winyle Dragona („Fallen Angel”, „Horda Goga”), Wilczy Pająk, znany też jako Wolf Spider, z utworem na oficjalnym wydawnictwie z Jarocina '88 , książeczki z tekstami songów po polsku i angielsku od Kagry, *tape trading*, dzięki któremu mój siedem lat starszy kuzyn miał mnóstwo dobrej muzyki od kolegi metala ze Szwajcarii, ciche smuteczki nad wkręconą taśmą kasety magnetofonowej Stilon i różowa kasetka BASF, na której ktoś – niekoniecznie łapiąc ironię zgrzytającą między kolorem a muzyką – nagrał „Kawalerię szatana” Turbo, naszywki, badziole i ekrany, nic nie słyhać, pogo, glany, długie pióra, tanie wina, którym Kwasożłopy zawdzięczają swoją nazwę. I wrogie przejęcie domowego adapteru, który w 1990 roku rozstał się z Czesławem Niemenem,

Bułatem Okudźawą i Anną German, by służyć „hordom Goga”. To moje pierwsze skojarzenia z polskimi metalowymi latami 80. I z tym, co z nich zostało na przełomie kolejnej dekady.

Gdzieś u początków polskiego metalu jest zespół Test, którego mocniejsze granie socjalistyczne państwo pozwoliło oficjalnie uwiecznić na winylu, wydanym w 1974 roku przez Pronit. Później długo, długo nic... Aż przyszedł 1981 rok i przyniósł ważny debiut. „TSA było pierwszym znanym zespołem, pierwszą polską gwiazdą, która wydawała płyty z «heavy metal» w tytule. Jako pierwsi w Polsce robili takie rzeczy. Na pewno są najważniejsi” – mówi Tomasz „Titus” Pukacki, wokalista i lider Acid Drinkers, na kartach książki „Ten gitarowy huk. Historia zespołu TSA”, pióra Macieja T. Nowaka. Polski metal w latach 80. to także skojarzenia ze złamanym odwróconym krzyżem w trakcie występu Kreona w Jarocinie w 1986 roku i czarną mszą odprawioną na tamtejszym cmentarzu. To również stylizowane na młodopolską modłę dionizyjskie pochwały diabła w wykonaniu Romana Kostrzewskiego, który wraz z Katem stał się – i do dziś pozostaje – osobną jakością w polskim metalu. Na marginesie: z robotniczych miast/rejonów, zarówno w Anglii (Black Sabbath), jak i w Polsce wyszły zespoły, które uciekły w zupełnie inne rejony rzeczywistości.

Rodzimy metal z lat 80. to również (pra)początki zdecydowanie niezainteresowanego ezoteryką Acid Drinkers, istotne także ze względu na późniejszy exodus Roberta „Litz” Friedricha i innych „radykałnych” w stronę chrześcijańskiego rocka. Subkultura i muzyka metalowa w latach 80., w ostatniej dekadzie PRL, to zresztą jeszcze jedna, fascynująca perspektywa społeczna i kulturowa. Nie będzie to zatem opowieść o tym, że jak gonili „szatanistę”, to mu opadały spodnie.

Była w metalu niechęć i wobec państwowego socjalizmu, i wobec instytucji kościelnych, jedno i drugie postrzegano jako awers i rewers jednego i tego samego systemu.

Raczej szkic poświęcony tym, którzy podłożyli fundamenty pod fenomen, który – z obrazoburczą trafnością – Adam „Nergal” Darski przeniósł do naszej współczesnej

popkultury pod nazwą „Rzeczpospolitej Niewiernej”.

Polski metal lat 80. XX wieku, podobnie jak dziś, nie stanowił jednolitego nurtu; grano thrash, speed, heavy i black metal, dobrze miała się też stylistyka hardrockowa. Wyciskacz łez „Jaki był ten dzień” z płyty „Smak ciszy” (1985) Turbo grano i śpiewano nie tylko na hippisowskich pielgrzymkach księdza Andrzeja Szpaka. Podobnie jak na całym świecie rodzimemu ostrzejszemu graniu drogę utorowały łagodniejsze muzycznie kapele, co dobrze pokazuje dostępny na YouTube kilkuodcinkowy film dokumentalny „Historia Polskiego Rocka”: jedna z jego części, „Teoria hałasu”, poświęcona jest właśnie rodzimemu metalowi ostatniej dekady PRL. Ale dla niewtajemniczonych wszystko, co nie przypominało radiowo-telewizyjnego rocka, było wtedy „hejwi metalem”.

Szerzej o realiach muzycznej sceny lat 80. mówi Sebastian Chociński, niegdyś współtwórca zina „Diabolic Force”: „Na początku lat 80. w Polsce prawie wszystko, co nie było Maanamem, Perfectem, Lady Pank czy Kombi, było sceną podziemną. W radiu takiej muzyki nie puszczano, w telewizji też jej się nie uświadczyło. (...) Potem nadszedł

stan wojenny i wielki rockowy *boom* w Polsce, który miał służyć jako wentyl bezpieczeństwa. Ale tak naprawdę na antenę – radiową czy telewizyjną – dopuszczano tylko nieliczne, ściśle wyselekcjonowane kapele. Te z podziemia, jak Dezerter, Brygada Kryzys, Deuter, Śmierć Kliniczna, czy też z metalowych Kat, musiały liczyć na łut szczęścia, polegający na tym, że ktoś z Tonpressu zechce im wypuścić singla, pod warunkiem jeszcze, że nie przypieprzy się ktoś z cenzury i nie skieruje wytłoczonej już płytki na przemiał”.

Zdaniem Jarka Gronowskiego z Dragona scena metalowa w Polsce zaistniała właściwie wraz z pierwszą Metalmanią, czyli w 1986 roku: „Tam pojawiły się nowe, nieznane wcześniej ostre zespoły metalowe: Vader, Dragon, Test Fobii – Kreon, itp. Później, na przestrzeni lat 1986 i 1987 z niektórymi kapelami Dziubiński i jego Metal Mind Productions zawarł umowę menadżerską – tak powstała «scena oficjalna», a generalnie rzecz ujmując, pozostali utworzyli «underground»”. Dodajmy, że na ogół w podziemiu grano ostrzej i bardziej diabelsko. Leszek Wojnicz-Sianożęcki, od dekad jeden z filarów nie tylko krakowskiej sceny metalowej, zwraca uwagę, że w tamtych czasach najważniejszymi kapelami podziemia były Imperator i Vader, a także Egzekuthor, Mercilless Death, Exorcist, Slashing Death, Magnus, Pandemonium, Taranis. I dodaje: „nie powinniśmy zapominać o Kat, który mimo wszystko przez długi czas był postrzegany jako kapela podziemna” (powyższe cytaty za: „Jaskinia hałasu”, Tomasz Godlewski, Wojciech Lis).

A przy okazji: o metalu w Polsce w latach 80. (i nieco później) nie da się pisać, tracąc z oczu postać Tomasza Dziubińskiego. O ile pierwsza Metalmania z 1986 roku, zorganizowana w katowickim Spodku, była w znacznym stopniu dziełem Romana Radoszewskiego i Jacka

Adamczyka, o tyle następne animował już późniejszy naczelny polskiego wydania magazynu „Metal Hammer” i twórca Metal Mind Productions, największej w Polsce na przełomie ustrojowym firmy od ciężkiego grania. Kapele, które miały okazję w tamtych latach grać na Metalmaniach, otrzymywały bilet wstępu do sławy, albo przynajmniej do rozgłosu. Przez lata Tomasz Dziubiński decydował, jakie dla bardzo wielu były noce i dni na metalowej scenie, szczególnie w przypadku tych, którym nie wystarczał nimb kapeli podziemnej. I nie wszystkim się podobała ta szczególna pozycja Dziubińskiego.

Liczył się nie tylko głośny menago ze Śląska. Swoje robili dziennikarze muzycni. Także tacy z ówczesnego mainstreamu. W Trójce puszczano metal: Piotr Kaczkowski zainaugurował „Kuźnię”, a Wojciech Mann „Metalowe Tortury”. Najważniejsza (i muzycznie ostrzejsza) była audycja „Muzyka Młodych” w Programie Drugim Polskiego Radia, w ramach której człowiek o nieocenionych zasługach dla polskiej sceny metalowej, czyli Krzysztof Brankowski, prowadził kultową listę przebojów „Metal Top 20”.

*Jak znaleźć drogę ucieczki z
nudnego jak festiwal piosenki
żołnierskiej w Kołobrzegu
kończącego się świata Polski
Ludowej?*

Metalową specyfikę tamtego okresu, szczególnie w jego nurcie mniej znanym szerszej publice, świetnie pokazują książki, których autorem lub

współautorem jest wymieniony wyżej fascynat gatunku i dziennikarz muzyczny Wojciech Lis. „Jaskinia hałasu”, „Metalowe wersety”, „Decybelowy obszar radiowy” stanowią nieprzebraną kopalnię wiedzy o

pierwszej dekadzie polskiego metalu i charakterystyce czasów, których początki to cenzura i reglamentowany dostęp do narzędzi dźwiękowej udręki i ekstazy, a końcówka: dziwaczna mieszanina elementów rynkowych i PRL-owskich obyczajów, murszejących instytucji i gorączkowych poszukiwań przez młode roczniki czegoś, co pozwoli im katapultować się ze świata rodziców, szkoły, religii.

Metal nie był antysystemowy w takim sensie jak punk, operujący zdecydowaną, wyrosłą z różnych szkół anarchizmu doktryną społeczno-polityczną. Odbiegał też od mieszającej się choćby z rockiem synkretycznej religijności New Age, która w imię swoich duchowych poszukiwań negowała zarówno dominujący społecznie katolicyzm, jak i narzucany odgórnie ateizm/agnostycyzm państwa. Była w metalu niechęć i wobec państwowego socjalizmu, i wobec instytucji kościelnych, jedno i drugie postrzegano jako awers i rewers jednego i tego samego systemu. Z kolei upadający PRL aprobował antykościelny wydźwięk części metalowej sceny, ale równocześnie traktował ją wrogo lub podejrzliwie, jak każdą subkulturę i każdy nurt ideowy, która wymykał się państwu zarządzanemu przez monopartię, Milicję Obywatelską i Służbę Bezpieczeństwa. Każdy pretekst do przyłożenia pały był wtedy dobry i metalowcy również tego doświadczali.

Inna rzecz, że brutalne starcia między fanami metalu z poszczególnych miast również były wówczas na porządku dziennym, na równi ze słynnym krojeniem, poprzedzanym zwykle rzetelnym albo markowanym przepytywaniem o dyskografię kapel, z którymi wizualnie identyfikował się okradany delikwent. Obecni plus minus pięćdziesięciolatkowie ze szczególnym rozrzewnieniem wspominają szczecińskie hordy, które celowały w solidnym zbiorowym oklepie na większych i mniejszych metalowych spędach. Ślepowronowi chyba

nawet nikt nie mówił, że w ludowej ojczyźnie wśród młodzieży odchodzi zbiorowe bicie połączone z krojeniem przy dźwiękach muzyki, która mało się komponowała z histmatem i diamatem.

Bez ogródek o specyficie tamtych czasów mówi Klaudia Kim, która stworzyła Impresariat Muzyczny Coma Flower: „Na większych koncertach publiczność różna bywała, często bardzo agresywna. Załogi ze Szczecina i Śląska napieprzały kogo się da, zadymy były już w pociągach. Na jednym z moich koncertów gościu z nożem latał i ranił ludzi – trzeba go było wyłapać – mogła to zrobić tylko milicja – ludzi na gigu ponad 1500 osób! Masakra, a tu nożownik w tłumie!” („Metalowe wersety”, Wojciech Lis). Obecnie koncerty metalowe gromadzą publikę, której znaczna część pierwszą i drugą młodość ma już za sobą; ludzie, którzy mają do stracenia więcej niż zęby, pewnie także dlatego jest dziś na nich spokojnie, a pogo w kotle nie jest już szaleństwem berserków, ale gwałtownym, lecz zasadniczo bezpiecznym sportem dla ludzi, którzy się dorobili i przestrzegają swoistego *savoir-vivre* tego rytuału.

Jak znaleźć drogę ucieczki z nudnego jak festiwal piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu kończącego się świata Polski Ludowej? Jeśli przeczytać wspomnienia najróżniejszych muzyków z lat 80., wciąż powtarza się podobny motyw: kolega z gramofonem, płytami i kontaktami (na Zachodzie). To był świat inicjacji w pierwotnym tego słowa znaczeniu: poprzez wprowadzenie i wtajemniczenie, choć także przez słowo pisane, czyli (fan)ziny. Niczego nie załatwiało się wówczas kilkoma ruchami palców po ekranie smartfona – wiedza popkulturowa bywała wiedzą tajemną, a przynajmniej solidnie reglamentowaną. Jeśli słowo *kontrkultura* ma w ogóle sens, to dobrze oddawały go metalowe fanziny i taśmy demo z czasów schyłkowego PRL, przesyłane sobie wzajemnie przez fanów. Korespondencyjna wymiana zinów i kaset

magnetofonowych, zarówno z nagraniami kapel mainstreamowych, jak i tych, które grały garażowo, nie ograniczała się do PRL, dla wielu nastolatków z tamtych czasów była pierwszym kontaktem z rówieśnikami z Europy Zachodniej i USA. Jednym z najważniejszych polskich zinów w latach 80. był „Eternal Torment”. Jego twórca, Marcin Wawrzyńczak, funkcjonował na styku podziemia i oficjalnej prasy: publikował w „Na Przełaj”.

W świecie gospodarki, w której wszystko było inaczej, na ogół trzeba było sporej dozy samozaparcia i głowy na karku, żeby nie tylko zdobyć instrument muzyczny, ale sprawić, żeby poradził sobie z tym, co komu w duszy gra. Powiedzmy, że chciałeś ćwiczyć na gitarze. Jeśli nie byłeś szczęściarzem, któremu ktoś z krajów zgniłego kapitalizmu przywiózł gitarę, która faktycznie jest gitarą, musiałeś zadowolić się wyrobami gitaropodobnymi z krajów demokracji ludowej. Niedoróbki, przeróbki, majsterkowanie – bodaj każdy z grających wówczas metalowców, punkowców, rockowców był jak Adam Słodowy.

Jeśli słowo kontrkultura ma w ogóle sens, to dobrze oddawały go metalowe fanziny i taśmy demo z czasów schyłkowego PRL.

Jak to wyglądało w praktyce? Piotr Wiwczarek, współtwórca i lider Vadera (1983), znalazł gdzieś na giełdzie płytowej przemycone z

Niemiec „Bravo”. W środku było zdjęcie Lemmy’ego z Motörhead z gitarą. „Oczywiście on miał rickenbackera, ja o takim instrumencie nie mogłem nawet marzyć, ale też zapragnąłem mieć struny bez owijek z blaszki. Wziąłem kombinerki, zerwałem je na całej długości strun i od

razu lepiej to wyglądało. A przy tym rzeczywiście lepiej brzmiało, trochę szorstko. Tylko żywot takiej struny był krótki, bo była dość miękka. Do tego podpinałem fuzza, zrobionego własnoręcznie na podstawie wycinków z podręczników fizyki czy może z «Młodego Technika». Podłączałem to do zwykłego radyjka i zasuwałem przesterowanym basem kawałki Motörhead czy Black Sabbath” – opowiada „Peter” Jarkowi Szubrychtowi na kartach książki „Vader. Wojna totalna”.

Jeśli już słuchałeś, kolekcjonowałeś ziny i grałeś, to wypadało zebrać publikę. Scena, wówczas i dziś, oznaczała nie tylko miejsce występu, ale cały subkulturowy ruch ze swoimi rytuałami i ornamentyką. Obecnie, gdy eklektyzm popkulturowy stał się również doświadczeniem metalowej subkultury, czy wręcz ją rozsadził, full-metalowe wdzianko nie jest oczywistością. I czasem nawet na blackmetalowych koncertach ludzie w hipsterskich ciuszkach przeważają nad tymi w przynależnym subkulturze pełnym rynsztunku, na który składają się katany, „telewizory”, skóry, naszywki, badziole, piśniczki, glany, pióra, tiszirty z logo kapel, skórzane i dżinsowe spodnie. Ale koncert, wtedy i wówczas, trzeba nie tylko zagrać od pierwszego taktu do ostatniego krzyku lub przedwczesnego wymiotu (bywało przecież i tak). Trzeba go również zorganizować. Zajmowały się tym odpowiednie państwowe instytucje, których reprezentanci dobrze już w latach 80. wiedzieli, że to czarny rynek ma rację.

O realiach wczesnych lat 80. opowiada Marek Piekarczyk, wokalista TSA: „[Ludzie] często płacili za nasze bilety na czarnym rynku potrójne czy poczwórne stawki, przekupywali bramkarzy. Zresztą to bramkarze najczęściej zarabiali na naszych koncertach, dziś ci ludzie mają duże firmy. Straszne machloje wówczas chodziły. Pracownicy Wojewódzkiej

Agencji Imprez Artystycznych w Katowicach, którzy organizowali te koncerty, sprzedawali nasze plakaty na czarno, nie rozlepiali ich. (...) Kiedy jeden z naszych fanów powiedział, że kupił bilet za pięciokrotnie wyższą kwotę, to zrobiłem małe śledztwo. Pokazał mi gościa, który mu go sprzedał. To był kierownik całej ekipy z WAIA. Okazało się też, że oddawali do kasy najwyżej połowę biletów, a resztę sprzedawali za wielokrotność jego ceny. I tak było przez całą trasę. Po trasie w biurze agencji wypłacono nam, muzykom, stawki niższe niż naszym technicznym i kierowcom. Pan dyrektor rozkładał ręce i mówił, że nie może nic z tym zrobić, bo takie ma przepisy” („Zwierzenia kontestatora. Marek Piekarczyk”, wywiad-rzeka przeprowadzony przez Leszka Gnoińskiego).

Może właśnie pamięć o absurdach schyłkowego PRL powoduje, że także zasłużeni metalowcy potrafią mocno się skrzywić na wspomnienie tamtych czasów.

Takich wspomnień jest sporo i brzmią więcej niż groteskowo w dzisiejszych czasach, gdy nawet małe okołokoncertowe firmy, tworzone przez fascynatów

metal, stawiają na pełen profesjonalizm i rządzą się zupełnie innymi regułami ekonomicznymi. Może właśnie pamięć o absurdach schyłkowego PRL powoduje, że także zasłużeni metalowcy potrafią mocno się skrzywić na wspomnienie tamtych czasów. Na przykład Paweł „Goolary” Góralczyk, założyciel krakowskiego Helliasa, który to zespół całkiem niedawno, po latach, wydał nowy album, „Osiem grzechów głównych” (sic!): „Chciałbym przenieść się w tamte czasy tylko ze względu na nostalgię i pamięć o czasach młodości. Nie tęsknię za komuną, pełną poronionych zasad i nienormalnych relacji. Nie

tęsknię za jabczkami kupowanymi u «Jadzi» i wypijanymi w pośpiechu w Podgórskiej bramie, nie tęsknię za dewizowym upodleniem Pewexów, smakiem taniej «samosiejki» czy za piwem «Barbakan», po które trzeba było jechać pod «Jedynkę» przy Rynku, a w niedomytych butelkach dostawało się siki zabarwione kiepami niedopalanych «Popularnych». To były chore lata i dziwię się panującej w niektórych kręgach modzie na gloryfikację tych czasów. Brakuje mi tylko jednej rzeczy... Swoistej szczerości tamtych czasów” („Metalowe wersety”, Wojciech Lis).

A jednak istniał wówczas fenomen, który pomagał bardzo wielu, również metalowym muzykom, często z mniejszych i małych miejscowości. Spójrzmy na plakat z 1992 roku, zapowiadający piątą edycję festiwalu S'thrash'ydło: u góry wypełzający z mroku wampir, a niżej info: „szansa dla młodych kapel z podziemia; najlepsze polskie formacje thrash, death, hard core” itd. Jaki podano adres kontaktowy? Wojewódzki dom kultury. Jeśli przyjrzeć się drukom ulotnym z lat 80. i czasów przełomu ustrojowego, to właśnie domy i ośrodki kultury stanowiły miejsce spotkania tego, co oficjalne i instytucjonalne, z tym, co przynależało subkulturom czy różnego rodzaju muzycznym podziemiom.

Nie trzeba teorii spiskowej o kanalizowaniu przez państwo buntu: symbiozę wymuszał fakt, że innej przestrzeni dla kultury poza państwową wtedy właściwie nie było, a niekiedy animatorzy w tego typu mniej lub bardziej prowincjonalnych miejscach albo mało byli zainteresowani tym, co się właściwie dzieje, albo sprzyjali ostrzejszej muzyce młodych. Nic też dziwnego, że niejedną pochwalną i krytyczną opowieść o domach kultury w PRL znajdziemy choćby w „Nieustannym tangu” Leszka Gnoińskiego (rzecz o Republice), „KSU. Rejestracja buntu” Krzysztofa Potaczały, książce „Roman Kostrzewski. Głos z

ciemności” (wywiad-rzeka) i na kartach „Vader. Wojna totalna” Jarka Szubrychta. Wokalista Kata wspomina: „Najbardziej pręźnie, jeśli chodzi o działalność artystyczną, działał bytomski MDK, gdzie nocami napierdziałało SBB! To był wybitny, jak na tamte czasy, dom kultury, z piękną, udekorowaną i świetnie przygotowaną pod względem akustycznym salą. Później, gdy przyszło mi grać w zespole, właśnie w tym MDK-u znaleźliśmy swoją przystań”.

„To, co urodziło się w PRL, jeśli chodzi o muzykę metalową, było z całą pewnością pionierskie. Mam na myśli głównie underground, gdzie aż buzowało – choć nie brakowało też kopistów. Nie bez kozery nagrania rodzimych zespołów z lat 80., jak Magnus, Merciless Death, Thrasher Death ukazują się po latach nakładem dobrych wytwórni z Niemiec, USA, Szwecji. To świadczy o mocy tamtej sceny” – podsumowuje tamten czas Wojciech Lis. „O ile rodzime Turbo czy TSA to epigoni – odpowiednio Iron Maiden i AC/DC, to jednak w metalowym podziemiu Polski Ludowej, rodziło się nowe. Dla przykładu: Scarecrow z Bydgoszczy czy Slaughter z Koszalina, grali własną muzykę. To była nowa jakość i to z nich można było zrzynać” – dodaje.

Tak kończył się PRL: nie tylko zrywem opozycyjnej młodzieży w 1988 roku, ale również gdzieś w „Warsie”, na trasie kolejowej Polski B przy akompaniamencie metalu.

Dla niewtajemniczonych końcówka PRL to będą jednak narodziny jednej z wciąż najbardziej rozpoznawalnych rodzimych kapel metalowych, czyli

Acid Drinkers. Rzadko kto już pamięta, że pierwsza muzyczna załoga

Roberta „Litzy” Friedricha nazywała się Sajgon i grała punka. Zapowiadali się na tyle dobrze, że mieli propozycję wspólnego grania od Gertrudy ze słynnej wówczas Zbombardowanej Laleczki. Z kolei Tomasz „Titus” Pukacki w trakcie odbywania zasadniczej służby wojskowej poczynił sobie śmiało w wojskowym zespole Ikar. To oczywiście dowcip, ale z połączenia tak przeciwstawnych tradycji powstała kapela, która zdominowała polski metal w latach 90. Kwasozłopy zaczęły grać w 1986 roku, choć ich debiutancka płyta ujrzała światło dzienne w 1990 roku („Are You a Rebel?”). Pierwszą dekadę istnienia zespołu w skrzęcej się od szczegółów książce „Raport o Acid Drinkers” opisał Leszek Gnoiński. Znajdziemy tam i barwne szczegóły patykiem pisanych koncertów i historię upadku polskich tłoczni winyli w trakcie przepoczwarzenia ustrojowego.

Nie zawsze było też tak, że domów kultury i tym podobnych placówek wystarczało. Wymowne są przygody Litzy i Darka „Popcorn” Popowicza z inną poznańską kapelą, Slavoyem. Z braku miejsca próby grali w Starym Kurowie, oddalonym od Poznania o ponad sto kilometrów. „«Dojazdy były tragedią. Pociąg mieliśmy o 15.30, jechało się godzinę do Krzyża. Tam musieliśmy czekać godzinę na następny pociąg, który zawoził nas do tego Kurowa. Próba trwała trzy godziny. Z powrotem było podobnie. Wracaliśmy około trzeciej w nocy» – wspomina Popcorn. «Wracając zawsze jedliśmy kolację w Warsie» – dodaje Litza. «Przeważnie radio było włączone dość głośno i równo o północy dzwony wybijały godzinę dwunastą. Zawsze ryczeliśmy pod to podkład z „For Whom The Bell Tolls” Metalliki»” – opowiadali muzycy Leszkowi Gnoińskiemu.

I tak kończył się PRL. Nie tylko zrywem opozycyjnej młodzieży w 1988 roku, ale również gdzieś w „Warsie”, na trasie kolejowej Polski B. Przy akompaniamencie metalu.